№ 37.

WARSZAWA

d. 3 (15) września

1861.

REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nasza wiara jest oraz nauką życia, i nie na marzeniu ani na słowach, ale na czynieniu opiera się.— (Z listów niedrukowanych X. K. Antoniewicza.

WĘGRY.

IV.

—

Skreśliwszy pokrótce dzieje Węgier, charakter ogólny Madziarów i położenie ludności wiejskiéj tego kraju (w poprzednim numerze Czytelni), przytoczymy teraz kilka rysów obyczajowych, mogących dać bliższe o włościanach madziarskich wyobrażenie.

Madziar niezwykł się żenić wcześnie; przez trzy lub cztery lata zwykle zaleca się dziewczynie, zanim ją poprowadzi do ołtarza. Gdy młodzian zapracuje sobie na kosztowny płaszcz, bogato szamerowany sznurkami, wtedy dopiero zamyśla o małżeńskich związkach. Dziewczyna ze swéj strony powinna mieć kaftan, tak zwany rekli, oraz porządną pościel. Gdy te warunki dopełnione, rozpoczynają się wtedy długie obrzędy, zawsze też same, a jednak zwracające uwagę całéj wsi. Zamiana pierścionków odbywa się przez dziewosłęba z ramienia pana młodego. Puszcza on się w drogę, poważnie i tajemniczo, i najprzód odbywa naradę z rodzicami dziewczyny. Po zwykłym pokłonie zaczyna rozprawiać o świętości małżeństwa, zagłębia się w różne dowodzenia, z których czasem nie wie sam jak wybrnąć, aż wreszcie przystępuje do rzeczy, prosząc o rękę dziewczęcia. Na takiego dziewosłęba wybierają zwykle człowieka z najtęższą głową, ale i z wypróbowaną uczciwością; spełnia on najchętniéj posłannictwo swoje, które mu nadaje szczególne znaczenie we wsi, i zapewnia pierwsze miejsce przy uczcie weselnéj. Zanim odejdzie ten dziewosłęb, powtarza uroczyście pewien rodzaj poetycznéj oracyi, od wieczny zabytek przeszłych czasów:

„Słyszeliśmy że macie na sprzedaż dziewoję,
I przychodzim w te progi zabrać ją jak swoję.“

Poczem wymienia imię i wylicza zalety narzeczonego, który oczekuje niecierpliwie u drzwi na odpowiedź.

Wtedy nawet kiedy ofiara jest przyjętą, ojciec ukrywa wewnętrzne swe zadowolenie,

marszczy brwi, powtarza uroczyście kilka słów o ważności stanu małżeńskiego i prosi o trzy dni zwłoki, niby to do namysłu. Nadchodzi wreszcie stanowcza chwila (ojciec bowiem żądał tylko zwłoki, aby nie uchybić zwyczajom); wtedy w obec zebranéj rodziny, w obec narzeczonego i dziewosłęba przybierając uroczystą postawę, gładząc wąsy, mówi z głębokiem westchnieniem: „Skoro Bóg potwierdza te związki, kiedy moje dziecko doszło do lat i kiedy szanowne osoby przybywszy do domu tego po narzeczoną, znalazły ją tu, i ja też bez wahania oddaję córkę moję w małzeństwo temu a temu, i daje im obojgu moje rodzicielskie błogosławieństwo.“ Wówczas rozpoczynają się przygotowania i ceremonje, to śmutne, to radośne, a powtarzane zawsze bez zmiany. Panna młoda zalana łzami żegna rodzinę, od starego dziadka, aż do niemowlęcia; podaje rękę panu młodemu, który czeka u drzwi w gronie krewnych i idzie z nim do nowéj chaty, gdzie teść i świekra przyjmują nowożeńców. Obiad zakończa tę przedwstępną uroczystość, poczem następuje wesele.

W niektórych okolicach w wigilją ślubu, narzeczony przyjeżdża z dziewosłębem po posag, składający się zwykle z malowanéj skrzynki, z zapasu odzieży i pościeli. Cała wieś patrzy ciekawie na ten pochód jakby tryumfalnego wozu; młode dziewczęta zawistnem nieraz okiem obliczają na nim skarby, a pan młody ze swatem siedząc na koźle, palą z bicza; za nimi liczna drużyna w świątecznym stroju pośpiesza na wózkach. Wyjeżdżając ze wsi, rozpędzają konie, śpiewają i wykrzykują, słowem, ogarnia ich weselny szał. Ale są to dopiero początki wesela. Nazajutrz o dziesiątéj, drużbowie przychodzą w licznym orszaku; wpośród okrzyków radości zabierają dziewczkę z rodzicielskiego domu i prowadzą państwa młodych do kościoła. Po ślubnem błogosławieństwie, młoda małżonka z oczyma spuszczonemi, jakby chciała uniknąć natrętnego wzroku ciekawych, idzie do chaty pana młodego, otoczona liczną drużyną krewnych i przyjaciół. Trudno opisać wrzawę tego tłumu: towarzyszą bowiem okrzykom wystrzały z fuzyi i pistoletów. Przed chatą zazwyczaj zamkniętą, nowy następuje obrzęd. Rzucają we drzwi kamieniami, oznajmując zawarte śluby i zapowiadając wojenne niby wkroczenie w progi domu. Przyszły naczelnik rodziny, przedstawia się jako pan w posiadłości swojéj, gdzie uczta czeka przygotowana. Starzy rodzice wszystko już bowiem przewidzieli. W główněj izbie, która zaledwie może objąć zebranych, stoi wpośrodku wielki stół, pokryty białem płótnem i zastawiony rozmaitem jadłem w wielkich kwiecistych misach. Przy tym stole mieści się do stu osób. W obec radości powszechnéj nikt nie żąda wygody; wszyscy potrącają się łokciami, lecz się na to nie zważa. Państwo młodzi zasiadają na pierwszem miejscu, obok najstarszych krewnych, reszta sadowi się gdzie kto może. Przystępują nakoniec do jedzenia; wtedy ukazuje się dziewosłąb z misą pełną dymiącego krupniku: kłania się wokoło obecnym i wyrzekłszy kilka wierszy stosownych do okoliczności, stawia misę na stole. Po zupie następuje kapusta ze słoniną, jagły, pieczony drób, a szklanice wina krążą bezustanku. Wkońcu zaczynają się pieśni, niekiedy improwizowane, to jest odrazu i naumyślnie ułożone, bez których nie byłoby uczty dla madziara.

Wieczorem następują tańce. W mgnieniu oka wynoszą stół i ławy, a muzyka cygańska przybywa. Siedząc na przewróconéj beczce, cygani wygrywają na skrzypkach, flecie, basetli i cymbałkach miejscowe melodye, a młodzież tańcuje na zabój. Jedni drugich potrącają i depczą; pot gęstemi kroplami ścieka wszystkim z czoła; mimo to młodzież tańcuje w kapeluszach. Trudnoby im przyszło rozłączać się z tym strojem ozdobionym w pióra i kwiaty. Taniec węgierski rozpoczyna się zwolna, z niejaką powagą i godnoscią, a kończy się z szalonym pośpiechem. Zrazu młodzież bije w podkówki, potem tancerz obejmuje tancerkę, wiruje z nią, a w miarę jak muzyka przyśpiesza taktu i taniec nabiera dziwnéj mocy. Niekiedy dziewczyna wysunie się z rąk tancerza, a on goni ją i pochwyca przy głośnych okrzykach, klaskaniu rąk, brzęku ostróg i podkówek. Wtedy wesołość dochodzi aż do szału. Wieśniak węgierski lubi szczególniéj muzykę cygańską, bez któréj żadne się wesele nie obejdzie.

Wszystko jednak skończyć się musi; uderza wreszcie północ: na to hasło dziewczęta odpowiadają okrzykiem zdziwienia i żalu. Dziewosłęb bierze w rękę dwie świece, powtarza

proroczym głosem jakieś poważne słowa, żegna gości i prowadzi państwa młodych do komory. Nazajutrz znów drużyna przybywa do weselnego domu, zapytuje o zdrowie panny młodéj i przynosi jéj różne upominki, jak gołębie, kury i łakotki różnego rodzaju.

Obrzędy te zmieniają się stosownie do miejca; w każdéj okolicy inne mają cechy; w tem jednak zachodzi wspólność między niemi, że wszędzie rozpoczynają się z powagą, a kończą z wesołością dochodzącą do szału.

Narodzenie dziecka, śmierć krewnego, słowem każdy ważny w życiu wypadek, daje powód do uroczystego obrzędu. Lud ten bowiem chętnie dzieli z sobą tak radość jak i niedolą. Po chrzcie rodzice, krewni i przyjaciele wezwani są na ucztę przeplataną pieśniami. Gdy rodzina straci jednego z członków swoich, przez całą noc następną brzmią pobożne hymny nad głową nieboszczyka. Nazajutrz krewni i przyjaciele towarzyszą żałobnemu obrzędowi. Cmentarz jest zawsze blisko wsi i chowając umarłego Wegrzy uważają, aby go obrócić twarzą ku wschodniéj stronie. Po pogrzebie orszak powraca do chaty zmarłego, gdzie czeka zastawiona stypa zwana *tor*. Ta uczta jednakże poważna bywa i uroczysta. Pamięć zmarłego panuje nad umysłami; tylko szmer modlących się żebraków przerywa ponure milczenie.

Madziary szczególne mają upodobanie w schludności i porządku; prawdziwie że warci są w tem naśladowania. W wigilię każdego święta pobielają dom wapnem, często myją podłogi i sprzęty. Nie widać tam, jak na Rusi i Wołoszczyznie, albo i w tutejszym kraju, żeby ludzie pod jednym dachem mieszkali z bydlętami. Ławki, stoły, naczynia poustawiane regularnie wkoło ścian, zawsze są czyste i starannie utrzymane; izba codziennie zamieciona. Najuboższy madziar zmienia co tydzień bieliznę, włosy utrzymuje czysto, smarując je sadłem lub słoniną; wąsy z równem pielęgnuje staraniem, a co do golenia, jeżeli nie celuje zręcznością, za to każda wieś ma dwóch lub trzech cyrulików.

Niezbędny sprzęt chaty wiejskiéj, składa się z łóżek, stołu, kilku ławek lub stołków, z wielkiéj szafy i kilku malowanych skrzynek. Na wielkich półkach rozstawione są miski, talerze i kolorowe dzbany. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające świętych, a szczególniéj Najświętszą Pannę. Gospodyni madziarska umie utrzymać ład domowy, a niektóre przysmaki jej przyrządu mogłyby ujść na magnackich stołach; wreszcie nie brakuje jéj zasobu. Zwyczaj jedzenia mięsa tak jest upowszechniony w Węgrzech, że każdy wieśniak używa go codziennie; oprócz tego do rzędu zwykłych potraw należy kapusta kwaśna, mleczywo i kluski. Słonina surowa z chlebem jest też ulubionym przysmakiem Węgrów, równie jak każda tłustość, którą dla strawności posypują pieprzem tureckim (papryką).

Włościanin madziarski lubi swoją wieś, ale głównie kocha rodzinne stepy rozległe i życie pod gołem niebem. Otoczony trzodą, oddychając świeżem powietrzem, z biczem w ręku, w butach z ostrogami, odziany kożuchem, zupełnie jest z takiego życia zadowolony i bynajmniéj do miasta nie tęskni. Ale i ochota do wojaczki nigdy w nim nie umiera. Na pierwsze hasło wojenne, gotów porzucić trzodę a ruszyć na pole walki; słowo cześć brzmi ustawicznie w jego ustach i umie on wyrazić je czynem; przy zdarzonéj okoliczności rusza na wroga z tą samą powagą, jaką zachowywał pasąc trzody.

Wnijdźmy do chaty węgierskiéj, a zobaczmy ojca siedzącego poważnie wśród pacholąt przybranych w buty z ostrogami Najmilszą ojca uciechą jest zaprawiać chłopców od maleńka do konia. Dziecko chwyta się oburącz grzywy, rusza w cwał, a jeśli nie spadnie, ojciec głaszcze je, mówiąc, jesteś człowiekiem; na te słowa chłopiec rumieni się z radości i w istocie czuje się być mężczyzną. Takie wczesne przywyknienia szczepią w sercu pacholąt uczucie osobistéj godności, która wymownie odbija w spokojnem ich obejściu, w poszanowaniu ku starszym, w mowie pełnéj grzeczności zachęcającéj do wzajemnych względów, do nieuchybiania nikomu, ale też do słusznego wymagania tego, co się od drugich należy.

Wszakże pomimo powagę taką i grzeczność dochodzącą niekiedy do wyszukania i ceremonialności, madziarowie nie są obłudni; owszem umieją serdeczną okazywać otwartość i pod tym względem mają dużo do polaków podobieństwa.

O dyamentach.

III.

Wartość dyamentów. Dyamenty najznakomitsze ze znanych. Dyamenty sztuczne. Sposób osadzania.

—

Wartość dyamentów jest bardzo wysoką. Najdroższe są brylanty, daléj pół brylanty, rauty, dyksztyny, a tafelsztyny są najmniéj cenione.

Dyamenty uznane za niezdatne do rżnięcia sprzedają się po 60 złp. blisko za karat i służą już to na proszek dyamentowy, już osadzają się w narzędzia i służą do przerzynania szkła, albo do rżnięcia drogich kamieni; jeżeli się przydadzą do ozdób, to 15 do 20 sztuk ważących razem jeden karat kosztuje około 20 talarów, (1) jeżeli 7 lub 8 idzie na karat, to już kosztują 30 do 35 talarów; im większe tem są droższe. Dyament ważący jeden karat, szlifowany, płaci się zwykle do 15 dukatów; sztuka dwu karatowa ma cenę podwójną, ale jeżeli waży więcéj, 4, 6, do 15 karatów, takich cena bardzo wysoko wzrasta, tak dalece, że dyament piękny szlifowany, ważący 15 karatów, wart przeszło 1000 dukatów. Cena ta co do dyamentów bardzo dużych czasem nie da się nawet określić, tak jest wysoką. Wspomnimy o niektórych dyamentach odznaczających się wielkością i pięknością.

1szy dyament Szacha w Agra, mający ważyć około 500 karatów.

2gi dyament Radszacha z Matan, w Borneo, ważący przeszło 300 karatów.

3ci dyament Wielkiego Mogoła w Kolur znaleziony, surowy, miał ważyć 733 karaty, obrobiony waży 279. Początkowa własność króla Golkondy, od którego przeszedł do Wielkiego Mogoła Aurengzebi, szlifowany w różę, wielkości i kształtu połowy jaja kurzego, podług znawców ceniony na 4 miliony talarów.

4ty dyament *Kohi-Noor*, pochodzący z Indyi, który przed kilku laty znajdował się na wystawie Londyńskiéj; własność królowéj Wiktorji.

5ty dyament Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rossyi, dawniéj zwany amszterdamskim; znaleziony we wschodnich Indyach w roku 1765, stanowił najpierwéj oko bożka w kościele Braminów. Jeden z grenadyerów francuzkich, przebrany po indyjsku dostał się potajemnie do świątyni, skradł go, a następnie w Madras sprzedał kapitanowi okrętu za 50 tysięcy liwrów (2); od tego dostał się do żyda za 300 tysięcy liwrów, późniéj do kupca greckiego nazwiskiem Saffras, który go w banku amszterdamskim złożył, a następnie w r. 1772 sprzedał cesarzowéj rossyjskiéj Katarzynie za 600,000 rubli i dożywotnią pensyą 4000 rubli. Jest w postaci gołębiego jaja przypłaszczonego, może niezupełnie kształtny, ale najczystszéj wody i bez skazy, waży 194 karaty; osadzony w berle Cesarstwa pod orłem.

6ty dyament cesarza Austryackiego, ceniony na 800 tysięcy talarów, niegdyś był własnością Karola Smiałego, księcia Burgundyi, w 20 lat po odkryciu sztuki szlifowania dyamentów obrobiony, zgubionym został w bitwie pod Morat w Szwajcaryi. Tu dostał się najprzód prostemu żołnierzowi za talara, późniéj jako kryształ kupiony w Rzymie za bezcen przez pewnego jezuitę, przez tegoż odstąpiony został wielkiemu księciu Florenckiemu za 80,000 talarów, obecnie znajduje się w Wiedniu; waży 139 i pół karatów, jest nieco żółtawy.

7my dyament francuzki, zwany *pitt* albo *regent*, prawie czworograniasty, w brylant szlifowany, zdobił dawniéj szpadę cesarza Napoleona, waży 136¾ karatów, ceniony na dwa mliiony talarów, pochodzi z Parteal w wschodnich Indyach. Jeden z niewolników pracujących w kopalni znalazłszy go, a nie mając gdzie schować, (dla zapobieżenie bowiem kradzieży, niewolnicy całkiem obnażeni muszą pracować), zadał sobie ciężką ranę w nogę, w któréj kradzież ukrył. Mocno brocząca się krew obroniła niewolnika od poszukiwauia; potem zbiegłszy, sprzedał dyament majtkowi angielskiemu, który mu obiecał schronienie na okręcie i uwiezienie. Lecz niegodziwiec ten, chcąc sobie zapewnić kupno, przy pierwszéj sposobności zepchnął niewolnika w morze i utopił. Ale bezecna zdrada nie uszła bezkarnie złoczyńcy, bo lubo oddał się kupiectwu i do znacznego majątku doszedł, późniéj w skutek rozwiązłości i opilstwa, w nędzy życie zakończył. Kamień sprzedany późniéj za kilka tysięcy funtów szterlingów (3) panu Pitt, gu-

---

(1) Talar znaczy 6 złp. Dukat 18 złp.

(2) Liwr czyli frank, znaczy toż samo prawie co rubel assygnacyjny, to jest około złp. 1 gr. 20.

(3) Funt szterling znaczy 40 złp. czyli 6 rs.

bernatorowi angielskiemu wschodnich Indyi, późniéj kupionym został przez regenta (księcia Orleanu) za półtora miliona liwrów, lubo poprzednio August krol Polski dawał za niego przeszło dwa razy tyle, bo 800 tysięcy talarów, ale Pitt żądał milion.

8my dyament, zwany *Sançy*. Jeden z najpiękniejszych, podłużny, w podwójną różę szlifowany, waży 106 karatów; niegdyś miał być własnością Karola Śmiałego księcia Burgundyi. Po bitwie pod Morat w r. 1476, stawszy się wraz z innemi kosztownosciami łupem zwycięzców, sprzedany został przeorowi d'Antaine, a od tego za znaczną summę kupiony od barona Sançy, radcy Henryka IIIgo. Późniéj zastawionym został u pewnego szwajcara, od którego odnosząc go wierny sługa, został napadniętym przez zbójców, a nie widząc ratunku, skarb sobie powierzony połknął. Mimo to jednak został zamordowanym, po śmierci dopiero dyament z wnętrzności wydobyto; w końcu stał się własnością korony francuzkiéj, kupiony za 600,000 liwrów.

9 i 10ty dyament. Król Portugalski ma dwa piękne dyamenty: jeden waży 215 karatów, drugi surowy, nieobrobiony, pochodzący z Brazylii, ma ważyć 1680 karatów. Nie ma jednakże dotychczas pewności jakim będzie po wyszlifowaniu, a nawet czy to nie jest przypadkiem topaz. Gdyby to był dyament prawdziwy, zajmowałby pomiędzy wszystkiemi znanemi pierwsze miejsce i wartość jego dochodziłaby do bajecznéj summy dwustu milionów funtów szterlingów.

W skarbcu Drezdeńskim króla Saskiego, tak zwanym *Das grüne gewölbe*, są trzy piękne dyamenty: jeden waży 48, drugi 40, a trzeci 38 karatów.

W skarbcu Częstochowskim znajdował się także piękny dyament, wielkości dużego orzecha laskowego, do 50 karatów ważący i ceniony na parę milionów złotych, lubo nie jest czystéj wody.

Dużo jeszcze pięknych dyamentów znajduje się w posiadaniu panujących i bogatych panów; wspomniemy tylko piękne dyamenty fioletowe i różowe w skarbcu Najjaśniejszego Cesarza w Petersburgu, oraz zielone i żółte w skarbcu Drezdeńskim.

Chciwość i oszustwo z jednéj strony, a chęć naśladowania możniejszych i przepychu z drugiéj, dały powód, że już oddawna zaczęto drogie kamienie naśladować. Za dyamenty osadzano dawniéj kamienie czeskie, daléj tak zwane kamienie *kajenny* i kamienie *Strassa* i t. d. sztucznie wyrabiane, albo też topazy do białości wypalone. Obecnie we Francyi tak doskonale umieją dyamenty naśladować, że sprzedawanych w Paryżu prawie niepodobna odróżnić od prawdziwych; zdarzały się nawet przypadki, że po wyjęciu kilku kamieni prawdziwych z naszyjnika, na to miejsce wprawiono sztuczne, które niczem od reszty się nie odróżniały. Jedynę cechę po któréj dyament sztuczny od prawdziwego można odróżnić, jest twardość; dyament prawdziwy jak to już wyżéj mówiliśmy, rysuje wszelkie kamienie, lub naśladowania (*imitacye*) ze szkła i t. p., a sam wcale rysy nie przyjmuje od innych; inne znaki rozpoznania nie są pewne. Kupując dyamenty, uważać też trzeba bacznie i na to, czy nie są z dwóch zlepione; nabywając zatem dyament wyższéj wartości najlepiéj wyjąć go z oprawy, aby dokładnie można było obejrzeć. Jeżeli dyament sam przez się jest osadzonym np. w pierścieniu, wtedy nosi nazwę *samotnego* (*soliter*); jeżeli zaś drobniejsze dyamenty użytemi będą do upiększenia innych kamieni, nazywa się to *obsadzeniem* czyli *karmoryzowaniem*. Kamień czysty zupełnie, czyli pięknéj wody, osadza się zwykle przezroczysto (bez denka); mniéj piękne czasem mają podstawę, a rzadko kiedy podkładkę zwaną *folgą*, która częściéj przy osadzaniu innych kamieni bywa używana.

Gawędy warsztatowe.

— Mój Wojciechu, przemówił znowu pewnego razu pan Stanisław do jednego ze swych czeladników, pracujesz po całych dniach z wielką pilnością, zarabiasz przeszło czterdzieści złp. tygodniowo, nie pijesz, nie grasz w karty, nie bałamucisz się, a mimo to przecież jesteś w ciągłych długach i wierzyciele twoi naprzykrzają się aresztując zarobek.

Ten do którego zwróconą była ta mowa, machnął tylko ręką i daléj odrabiać zaczął szew rozpoczęty.

— Znam ciebie, odezwał się daléj majster, jako człowieka poczciwego i pracowitego, dla tego też cię trzymam u siebie; dobrze więc musisz rozumieć że ciągłe twoje korowody z wierzycielami wcale mię nie cieszą, tym więcéj że wiem, iż są to powiększéj części sklepicarze, kupcy, rzeźnicy i inni. Musisz więc chyba żyć nad możność, nad zarobek twój, nad stan?

— Ej, gdzie tam, proszę pana, odparł Wojciech; skromnie żyję, a mimo to długi są i wypłacić się z nich trudno. Wszystkiemu winni są wierzyciele: wprzód tak chętnie kredytowali, wpraszali się i zapewniali o swéj przyjaźni, a dziś natręty nachodzą i dokuczają, policzywszy sobie w dwójnasób wszystko com brał.

— Mówisz mój kochany, odrzekł pan Stanisław, że to wierzyciele są winni: lecz któż cię przymuszał do kredytowania?

— Gdyby nie dawali, nie brałbym i musiałbym się obejść tem, na co starczył grosz gotowy; a tak mając otwarty kredyt u sklepiczarki, u kupca, rzeźnika, co tylko przywidziało się do głowy mnie lub żonie, braliśmy, bo za to późniéj dopiero trzeba będzie płacić; człowiek tego nawet i nie rachował! Najgorsza rzecz z temi kredytami!

— Nie zupełną masz racyę, odparł majster: kredytowanie nic tu nie winno, ale ty sam, żeś go nadużywał. Nóż jest bardzo potrzebny i trudno się bez niego obejść w codziennem życiu, a przecież nożem się można zarżnąć. Czyż ztąd zaraz rozumieć należy, że nóż to rzecz bardzo szkodliwa i niepotrzebna?

— Zapewne że nie, odrzekli chórem czeladzie; jakżebyśmy bez noży mogli się obejść!?

— Toż samo zupełnie ma się i z kredytowaniem, ciągnął daléj p. Stanisław; można się kredytowaniem zniszczyć, a można także i na nogi postawić, za pomocą kredytu przy pracy i rozsądku czegoś przecie dorobić.

Tu kilku czeladzi westchnęło, bo któż nie wzdycha do majątku, do dobrego bytu; komuż się nie uśmiecha nadzieja polepszenia losu i swego i drogiéj każdemu rodziny.

— Należy tylko przedewszystkiem wiedzieć jak i jakiego używać kredytowania, aby zamiast na szkodę obróciło się ono na korzyść. Naprzód kredytowanie codziennych potrzeb życia u sklepiczarki, rzeźnika, kupca, jest najszkodliwszem i prowadzi każdego do zguby prędzéj lub późniéj, a przynajmniéj do wielkiego nieporządku i do strat niemałych. A niestety, jakże to wielu czeladzi temu zgubnemu nałogowi ulega! Jakże to wiele żon niebacznie przez kredyta rojnuje swoich męży! jakże wielu rzemieślników tym sposobem niszczeje!

Dobrze powiedział Wojciech, że kredytując potrzeby życia codziennego nie liczymy się; zachce ci się czego tobie lub twojéj żonie, idziesz do sklepiku i bierzesz na kredyt bardzo łatwo, bo zdaje ci się żeś to dostał darmo, ponieważ nie płacisz pieniędzmi zaraz i zrobisz to dopiero późniéj, kiedyś... Ileż to ćwiartek mięsa, ileż butelek piwa, kieliszków wódki i innych takich rzeczy znikło w waszych żołądkach bezpotrzebnie, z łakomstwa, a jedynie dlatego żeście to brali na kredyt; kupując za gotowe pieniądze, liczylibyście czy was stać na to, czy wam wystarczy na jutro lub pojutrze? I nieraz odmówilibyście sobie bezpotrzebnéj przyjemnostki, ścisnęli pasa, jak to mówią, i obyli bez zadośćuczynienia chętce. Kredytowanie więc takie prowadzi do zbytku i życia nad możność, nad zarobki, nad stan, co jest robakiem toczącym grosz zapracowany ciężko przez czeladnika i w ogóle wszystkich ludzi utrzymujących się z pracy rąk własnych.

— Oj prawda, prawda, westchnął Wojciech. Pókim żył bez kredytowania, ale z grosza gotowego, trudno było mieć dwa razy na tydzień pieczeń... Teraz w ostatnim kwartale, kiedy żona zaznajomiła się z rzeźniczką i bierze mięso na borg, jadaliśmy kilka razy na tydzień niezłą krzyżówkę, schab i cielęcinę bardzo często.

— Ale u mnie była dziś ta rzeźniczka, wtrącił p. Stanisław, i przyniosła kwitki twoje, z których pokazało się, że jesteś jéj jeszcze winien sto złotych; obiecałem jéj że będziesz oddawał po 10 złp. z zarobku tygodniowo.

— A czy Szmul kupiec był także? zapytał zatrwożony Wojciech.

— A był: temu winieneś osiemdziesiąt złp.

— Na miłość Boską, tylko trochę kawy i cukru od niego brałem, a ten niepoczciwy taki mi rachunek namalował; a to nie trzeba mieć sumienia!

— Prawda rachunek spory, ale widziałem żeś brał parę razy po butelce araku, cytryny, rodzynki, migdały, a nawet orzechy. Szmulowi więc obiecałem strącać po 8 złp. na tydzień.

Była tu także sklepiczarka; téj winieneś 50 złp., zapłaciłem je za ciebie, lecz pod tym warunkiem, że już u niéj nie będziesz kredytował więcéj. Mnie spłacisz dług po 2 złp. tygodniowo.

Wojciech serdecznie majstrowi dziękował.

Obliczywszy wszystko, mówił znowu p. Stanisław, wypadnie że przez kwartał następny z tygodniowego zarobku strącać ci będzie potrzeba po 20 złp. na długi, to jest blisko połowę twojéj płacy.

— Czy on się utrzyma z reszty bez nowych długów i nowego kredytowania, zarzucił któryś z czeladnikow.

— Tak, masz racyę, odparł p. Stanisław: chcąc to zrobić trzeba niezmiernie się ograniczyć, uskąpić we wszystkiem, co nie bardzo łatwo i miło, przyzwyczaiwszy się do lepszego życia. Mam jednak nadzieję, że Wojciech to zrobi... i skorzysta na przyszłość z téj nauki. Ale nie każdy by to umiał i najczęściéj się zdarza, iż raz wszedłszy w długi, już z nich nigdy nie wychodzi. Kto tą drogą postępuje, wie, że wtenczas staje się niewolnikiem swoich wierzycieli, że nigdy nic nie ma własnego, ale całe życie pracuje już na kogoś. Wtedy zarobek który dostajesz do ręki jest nie twój, bo musisz go w całości albo połowie oddać wierzycielom. Wypłacisz się raz, to znowu nowe długi ci rosną i tak wkoło i tak bez końca. Rozumie się, że tym sposobem najpracowitszy czeladnik zniechęca się do roboty, rozpróżniacza i często na złe puściwszy, ginie marnie w nędzy.

— Oj tak, tak bywa, przemówił jeden z czeladników. Wszyscyśmy znali Janka: był to porządny chłopak; robota paliła mu się w rękach, dużo zarabiał i miewał też zawsze grosz gotowy; ale jak zaczął kredytować, a zbytkować, w takie wlazł w długi, że ich nie mógł wypłacić, rozpił się więc i rozpróżniaczył. A kiedy go już nikt z porządnych majstrów przyjąć nie chciał, podpiwszy sobie z rozpaczy i nędzy powiesił się ot przeszłego roku.

— Rzeczywiście tak było, bo często małe rzeczy pociągają za sobą większe skutki i sprowadzają nieszczęścia i smutny koniec. Wracając się do borgowania u kupca, rzeźnika lub sklepiczarza, czy myślicie, że obok przyzwyczajenia się do życia nad możność, obok nie porządku w waszych zarobkach, nie tracicie jeszcze i na tem, że płacicie za wszystko drożéj, a dostajecie towar w gorszym gatunku, mniejszéj miary i wagi.

— O tak, tak, wtrącił Wojciech; jak biorę na kredyt czy to masło, czy sól, cukier lub kawę, to funcik taki malutki, że ani się obejrzysz jak wyjdzie; upominać się zaś trudno, boć nie płacąc pieniędzmi nie można grymasić.

— A i rachunki rusną doprawdy niewiadomo kiedy; jeszcze się dobrze nie zorientujesz, już parę złotych dopiszą.

— Cóż chcecie, rzekł p. Stanisław, aby wam dla waszych pięknych oczu borgowano? Kupiec, sklepicarz nie po to wam dają na kredyt, aby nie mieli zarobić na was. A ponieważ ci którzy najłatwiéj dają na kredyt, są zwykle ludzie szybkich zysków szukający, liczą więc setne procenta i dają mniejszą miarę i wagę.

— Dziwi mię to, odezwał się jeden z czeladzi, że wiedząc jakie to złe pociąga borgowanie, nie zabroniono dotychczas sklepicarzom i kupcom dawać na kredyta. Gdyby oni nie dawali, my byśmy nie brali i byłoby dobrze.

— Że też to, odpowiedział p. Stanisław, nikt nie chce zacząć poprawy od siebie, ale pragnie aby drugi, jeśli nie dobrowolnie, to gwałtem się poprawił. Patrzmy tylko któż tu jest winniejszy, czy ten kto bierze na kredyt, czy ten co daje na borg? Bezwątpienia jest to niesumiennie kredytując liczyć wysokie procenta, krzywdzić na wadze i mierze... ależ to przecież nie może być wymówką dla tych, co na kredyt żyją, boć nikt ich za kołnierz nie ciągnie aby to robili. Więcéj nawet powiem wam, a co pewno sami wiecie i przyznacie, iż u nas ten kupiec który łatwo daje kredyt, ma większy odbyt, niż ten coby wcale na borg nie dawał, chociażby nawet taniéj sprzedawał i był sumienniejszy. Nareszcie gdyby zabroniono borgować, pytam cobyście zrobili wrazie istotnéj potrzeby, wtedy gdy wam zbraknie grosza i pragniecie zakredytować bochenék chleba dla pożywienia siebie i głodnéj rodziny? Przypomnijcie sobie com wam powiedział o nożu: nie kredytowanie więc i możność dawania na borg jest złem, ale nadużycie pociąga tak smutne następstwa.

— Słyszałem nawet, odezwał się któryś z czeladników, jak nasz kupiec z rogu mówił, że kredytowi bardzo zawdzięcza znaczną część swego majątku. Ciekawym jak kredytował,

kiedy on się dorobił, a my wychodziemy na ladaco?

— Oto przedewszystkiem, rzekł p. Stanisław, nie brał on na kredyt tego, co mu do utrzymania życia było potrzebne, ale tak się ograniczał, aby mu własne dochody wystarczały. Tym więc sposobem dał się poznać jako człowiek porządny i wzbudził zaufanie u ludzi, którzy sami do niego przyszli i powiedzieli, że mu dadzą pieniędzy na godziwy procent. Zgodził się on na to, wziął pieniądze, ale myślicie, że zaraz zaczął za nie hulać? Nie, wcale nie: zakupił bowiem więcéj towarów, rozszerzył swój handel, a ponieważ miał sklep w dobrem miejscu, ważył sumiennie, dawał towar dobry, szło mu więc bardzo pomyślnie. Od każdych stu złotych na rok płacił on swoim wierzycielom po 6 złp., a że sam przy pracy i staraniu zarabiał po 15, czystego więc zysku miał 9 złp. Rozumiecie więc teraz, że te 9 złp. od każdych 100 szły na powiększenie majątku; a że mu pożyczono stoty sięcy złotych, to rocznie przybywało 9000 złp. czyli przez lat dziesięć uzbierał sobie swoich własnych 90 tysięcy złotych li tylko za pomocą pożyczonych pieniędzy.

— Dobrze to panom i kupcom — zauważył jakiś czeladnik: każdy im da pieniędzy; nawet w banku słyszałem na podpis może dostać... A któżby dał biednemu rzemieślnikowi?

— Prawda że nasze położenie nie jest tak pomyślne, ależ bo i w części sami rzemieślnicy są temu winni. Pożyczki stosownéj do ich zamożności niktby im nie odmówił, gdyby widział sumienność, pewność i stosowne a pożyteczne jéj użycie. Otóż gdyby ci którzy mają do pożyczenia pieniądze byli pewni że ich użyjecie, tak jak ten kupiec na rozszerzenie warsztatu, ilości wyrobu, niezawodnie by wam dali, bo pomyślność nasza stałaby się większą, a ztąd i pewność odbioru znaczniejszą. U nas prócz kassy przy Towarzystwie Dobroczynności nie ma innego publicznego zakładu, gdzieby pożyczano drobne summy rzemieślnikom, ale w Niemczech i Anglii jest takich banków dużo. Sam z nich brałem pożyczki, opiszę wam więc jak one tam powstały i jakiem są one dobrodziejstwem. Teraz zaś pamiętajcie tylko, że jedno jest kredytowanie potrzeb życia, a to fałszywe, szkodliwe, zgubne, choć najczęściéj używane, drugie rozsądne, prowadzące do zrobienia majątku i dobrego bytu, zamożności i o to powinniśmy się starać.

Wtem zadzwoniono i p. Stanisław dał znak czeladzi, że czas już na obiad.

Różności.

Według sprawozdania rządowego za r. 1859, było w tym roku ludności w Królestwie 4,764,000 głów; z których mężczyzn 2,298,000 a kobiet 2,406,000. Dzieląc podług religii, katolików było 3,657,000, uniatów 215,000, ewangelików 280,000, żydów 590,000, reszta innych wyznań.— Wsi było 22,613, w nich ludności 3,600,000; miast 453, w nich ludności 1,164,500, w saméj zaś Warszswie 161,000. Dochody m. Warszawy obliczono na 950,000 rubli czyli z górą 6,300,000 złp.

Zebrano w r. 1859 ozimego i jarego zboża korcy 22,373,000, kartofli 17,450,000 korcy; w ogóle daleko więcéj jednego i drugiego niż w roku poprzednim 1858. Bydła rogatego było 1,963,000 sztuk, koni 580,500; owiec 3,485,500, świń 901,550; w czem też znaczne pomnożenie od roku poprzedniego.

Zagadka.

Biała ptaszyna z czarnemi smużki,
Choć ma zlepione skrzydła i nóżki,
Przelata kraje, gdzie każesz staje,
Komu chcesz służy, co chcesz powtórzy

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 z exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 roczni Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 3 (15) września 1861 roku.